

*pod płotem* – rzekł przyjaźnie do nas. Nie zważając na kręcące się pszczoły łapałem te makuchy w locie, podawałem Wieškowi, a on składał je za płotem. Płyty były dość ciężkie i lepkie. Kiedy poruszyło się coś za drzewami, daliśmy dyla za płot. Porwaliśmy po dwa makuchy i wialiśmy wiadomą nam dróżką między sztaplami.

Nawet nie wiem jak znaleźliśmy się u mnie w drewnitni. Teraz obejrzeliliśmy te nasze makuchy. Ręce nasze były tak posklejane, że palce nie chciały się rozejść. Polizałem palec i poczułem smak miodu. Przyniosłem te makuchy do kuchni i opowiedziałem mamusi o wszystkim. Złajała mnie ostro i zabroniła mi tam chodzić. Teraz ze spokojem oglądaliśmy, co to takiego. W makuchu były ziarna słonecznika, ziarna dyni, orzechy, mak i jakieś inne nasiona. Wszystko to było sprasowane z miodem. Nie dawało się tego złamać, ani łatwo ugryźć. Ciąć można było za to nożem i żuć. Smakowało wybornie. Mama pocięła te makuchy na małe kawałeczki i włożyła do glinianego garnka, obciągając go lnianą szmatką. Teraz mogłem sięgać tam i żuć jak cukierka.

Mimo zakazu, postanowiliśmy z Wieśkiem następnego dnia naściągać tych makuchów ile się da. Niestety, wagonów już nie było, ale na pocieszenie znaleźliśmy jeszcze kilka pozostawionych wczoraj przez nas przy płocie pod liśćmi łopianu. Dziwne, że ich nikt nie znalazł.

Znowu chodziłem na Posanie po mleko. Kiedyś spotkałem na podwórku gospodarza dwóch nieznanomych ludzi, którzy piłowali kłoc drewna na krzyżaku. Szukałem Staszka, jednego z synów gospodarza. Zapytałem, czy nie widzieli go. Popatrzyli na mnie, ale się nie odezwali i piłowali dalej. *Dziwni jacyś albo niemowy?* – pomyślałem. Staszka zobaczyłem dalej na polu za stodołą. Obrabiał koniem ziemniaki. Obiecał mi zrobić łuk z drzewa akacjowego z cięciwą z jelita. Strzały miałem już zrobione. Po czubki chodziło się na Piaski, gdzie leżały wypalone pociski po

nalocie. Te strzały robiłem z „Niedojdą”. Właściwie to on mi je robił. Proste patyki z orzecha laskowego, nacinał na grubszym końcu, wkładał w wycięcie pióro kogucie i obwiązywał z przodu i z tyłu dratwą. Na przód nabijał wypalony szpic naboju. Te pióra na brzechwy dostałem właśnie od Staszka.

Staszek pracował u kowala na Brandwicy i umiał robić wiele różnych rzeczy. Umówiliśmy się na drugi dzień przy lasku za Posaniem. On miał tam obrabiać pole, gdzie w pobliżu rosły akacje. Zostawiłem bańkę na mleko u gospodyni i poszedłem pod zagajnik. Był piękny ranek i wokoło śpiewały skowronki. Szedłem między zagonami wyrosłego żyta i wsłuchiwałem się w trele. Dojrzałem właśnie Staszka zawracającego konia, który ciągnął przewrócony na bok płuzek.

Nagle z lasku wyszli gęsiego Niemcy. Na przedzie szedł oficer. Na piersi dyndała mu lornetka. Za nim postępowało kilkunastu żołnierzy uzbrojonych po zęby. Zdrętwieliśmy obaj i nie wiedzieliśmy, co robić. Zaskoczenie było absolutne. Szli miedzą tuż obok nas. Staszek zdarł z głowy czapkę, kłaniając się nisko. Prowadzący Niemiec zapytał się: *którędy do pałacu najkrótszą drogą?* Pytanie padło czystą polszczyzną. Staszek, jękając się, pokazywał ręką. Wkrótce kolumna zniknęła. Staliśmy przez chwilę zapatrzeni.

*Wioo* – popędził konia Staszek. *Przeleczę jeszcze dwa rządki do końca i poszukamy odpowiedniej gałęzi* – powiedział w moją stronę. Kiedy koń spokojnie skubał trawę, weszliśmy do zagajnika i Staszek wdrapał się na akację. Odciął parę gałęzi i potem wybrał jedną z nich, ogołocił z liści, z kory i przyciął na długość. Zginając ją trudem w rękach orzekł, że łuk będzie z niej dobry. Wracając do zagrody poganiałem konia, a Staszek opowiadał jak będzie skręcał świńskie jelita na cięciwę.

W tym właśnie czasie rozległa się strzelanina, jak nam się wydawało, od strony pałacu Lubomirskich. Na podwórku przed

chatą Staszka czekała jego mama i ojciec. Pytali, czy nie widzieliśmy czegoś. Opowiedzieliśmy jak spotkaliśmy idących Niemców, którzy pytali o drogę. Przysłuchujący się rozmowie ojciec podszedł do tych piłujących drewno, powiedział coś do nich, a ci od razu zniknęli. Wracając z mlekiem do domu byłem pod wrażeniem maszerujących w ciszy Niemców. Opowiedziałem mamusi, co widziałem i pobiegłem do Wieśka.

Wieczorem już na całej ulicy wszyscy wiedzieli, że w pałacu partyzanci przebrani za Niemców zastrzelili komendanta Martina Fuldnera, jego żonę i ich syna oraz jeszcze kilku innych SS-manów. Był to odwet za zamordowanie 24 czerwca 1943 roku uczestników wesela Teresy Wańkowicz z Iwonem Mierzejewskim w dworze Horodyńskich w pobliskim Zbydniowie. Teraz był październik 1943 roku.

W mieście panowało poruszenie. Ludzie nie wychodzili z domów w obawie przed łapankami. Mama zajęta szyciem dla ludzi, nie była w stanie mnie upilnować. Zawsze pod pretekstem zbierania trawy dla królików wrywałem się z domu i pędziłem na tartak, gdzie dla nas chłopaków było to najlepsze miejsce do zabaw. Rozległy plac znaliśmy na pamięć. Pomiędzy sztaplami desek było tak dużo zakamarków, że i diabeł by nas nie znalazł.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na starym sztaplu, mieliśmy rozległy widok na parowozownię, ale nas najbardziej interesowały transporty kolejowe. Często widziałem transporty kolejowe pełne ludzi w zamkniętych wagonach towarowych, które zmierzały do obozu zagłady w Oświęcimiu – tak mówiono. Wielką frajdą była jazda wózek tartacznymi. Robiliśmy różne zawody. Rozpędzało się wózek z dziesięciu kroków, wskazując nań i kto najdalej dojechał, ten wygrywał. Albo robiło się zderzenia wózków, które najczęściej kończyły się ich wykolejeniem. Wózki były żelazne i ciężkie. Jak zeskoczył któryś z torów, ciężko było nam wtoczyć go z powrotem. Przeganiano nas za to, ale nikt nie mógł nas dopaść.

Kończące się wakacje były dla mnie niezbyt miłe. Bawiliśmy się wówczas na piaskowni w pobliżu domu. Wiesiek miał saperkę, a ja buchnąłem mamie spod pieca łopatkę od węgla. Kopaliśmy piasek w stromym boku skarpy. Piasek miał kolor biało-żółty i pozwalał krajać się jak masło. Chcieliśmy wydrążyć pieczarę i bawić się w niej jak jaskiniowcy. Od wojny nikt stąd piasku nie brał, bo nikt się nie budował. Była cisza i słońce mocno przygrzewało. Jama była już tak duża, że obaj się w niej mieściliśmy.

W pewnym momencie łopatką Wieska zaczęła o coś twardego. To coś, kazało się bokiem drewnianej skrzyni. Na pewno jakiś skarb! Podnieceni, podwoiliśmy nasze wysiłki. To nie była jedna skrzynia, ale kilka. Leżały jedna na drugiej, pomalowane na zielono. Widać było tylko boki. Reszta była głęboko w piasku. Jedna miała trochę zgnieciony bok, więc Wiesiek łopatką odebrał kawałek deseczki. Pokazał się nasmołowany papier. Rozewałem ten papier łopatką i wysypały się, świecąc mosiądzem, karabinowe naboje.

Sypnęło się trochę piasku z góry. Podniosłem głowę i ujrzałem rysę pękającego piasku. Jakimś odruchem odbiłem się nogami do tyłu i nagle runęły zwały piachu na nas. Upadłem na plecy i zacząłem się wygrzebywać. Po chwili udało mi się uwolnić. Wieska nie było widać. Zerwałem się na nogi, wyskoczyłem z piaskowni i zacząłem krzyczeć.

Przed domem stał Sokalski z jakimś mężczyzną. Darłem się, że Wieska zasypało. Sokalski skoczył do sieni, porwał łopatę i obaj przybiegli. Ja rękami odgarniałem piasek i kawały darni. Po kilku chwilach pokazała się głowa Wieska. Kiedy go wyciągnęli, był błądy i miał zamknięte oczy. *Wody, wody* – mówił powoli do Domiceli, która stała na górze i się przyglądała. Momentalnie przyniosła wodę w wiaderku. Mężczyzna w tym czasie ruszał rękami Wieska, robiąc mu sztuczne oddychanie.

Sokalski chlusnął wodą na twarz Wieśka, ten zakaszlał i otworzył oczy. Ucieszyłem się, bo wyglądało to groźnie. Ziemia nad naszym wykopem ponownie się obsunęła. Niewiadomo skąd zrobiło się zbiegowisko. Przybiegła mama, babcia Wieśka i zabrały go do domu. Sokalski wziął mnie za ucho i myślałem, że dostanę po łbie. Było mi wszystko jedno. Ale cieszyłem się, że Wieškowi nic się nie stało, bo to był mój pomysł z tą jaskinią. Sokalski przycisnął mnie do siebie i powiedział: *uratowałeś mu życie. Zapamiętaj, że to była niebezpieczna zabawa. Mogliście obaj je tutaj stracić i pies z kulawą nogą by nie wiedział, co się z wami stało.* Przybiegła mamusia. Wracając do domu, płakała utyskując: *co ja już z tobą mam, synu.* Było mi naprawdę głupio, ale nadal nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji.

Wieczorem, kiedy udawałem, że śpię, gdy tato przyszedł z pracy, opowiedziała mu o całym zdarzeniu. *Tak już jest w życiu. Nie upilnujesz chłopaka – powiedział. Myślę jednak, że dostał dobrą naukę i zapamięta to na całe życie. Wiesz? Dostałem list od Wandy. Mieszkają w Łętowni, daleko za Przeworskiem, w pobliżu Przemyśla. Józek jest tam kierownikiem szkoły i z Wandą uczy ukraińskie dzieci. Piszą, żeby do nich przyjechać na jakiś czas. Zabierz Adama i pojedźcie tam. Mnie nie puszczą z fabryki. Pracujemy tam, jak niewolnicy po szesnaście godzin, naprawiając ich zsrane armaty. To dobrze, że jeszcze na noc puszczają nas do domu. Coraz więcej przywożą tego sprzętu, a my to tak naprawiamy, że po paru strzałach, taka armata nadaje się tylko na szmelc. Rozmawiali półszepciem, a ja starałem się nie oddychać, by usłyszeć każde słowo. Przecież to jest niebezpieczne! Rany Boskie! Przecież mogą was rozstrzelać, albo wysłać do obozu w Oświęcimiu, albo Treblince – wyszeptła mama. Nie jest tak źle, jak sobie to wyobrażasz – uspokajał ojciec matkę. Czy na wojnie, można tak od razu stwierdzić, co się stało? Po pierwsze, armaty przechodzą test. Są przestrzeliwane i sprawne jadą na front. Po drugie, nie ma na*

*to czasu i robią to dobrzy fachowcy. W fabryce pracuje kilka tysięcy ludzi. Jest u nas dobra, podziemna organizacja. Jak mają na kogoś haka, to ten ktoś jest powiadamiany i znika w lesie. Zresztą Niemcy uważają, że robimy dla nich dobrą robotę. Zaraz napiszę do Wandy list, że za tydzień w sobotę wyjeżdżacie, tak aby furmanka czekała na was na przystanku – mówił do mamy tato, a ja zapadłem w głęboki sen.*

Nazajutrz mamusia oświadczyła, że w następną sobotę pojedziemy do cioci Wandy, która jest młodszą siostrą taty. Nie mogłem doczekać się wyjazdu. Spakowała walizkę z naszymi rzeczami i nareszcie nadeszła upragniona sobota. Kiedy obudziłem się ojca już nie było, bo skoro świt pojechał do huty. Pociąg mieliśmy późnym popołudniem. Czekaliśmy na tatę. Kiedy trzeba było już wychodzić z domu, przyszedł znajomy ojca z pracy i powiadomił mamę, że tata musiał zostać w pracy. Przekazał mamie kopertę, w której był list i pieniądze. Na dworzec odprowadził nas Wiesiek.

W wagonie był tłok, ale w przedziale znalazło się miejsce siedzące przy oknie. Z nosem przy szybie oglądałem mijane krajobrazy. Kiedy zapadła noc, wagony nie były oświetlone, a ja nie mogłem oderwać wzroku od kłębiących się iskier sypiących się z parowozu za oknem. Pociąg zatrzymywał się rzadko. Raz staliśmy dość długo przepuszczając jakiś transport, który z łoskotem przemknął obok nas. Znużony usnąłem w końcu na kolanach mamy.

Było już całkiem jasno, kiedy obudzony wysiadłem z mamą na jakiejś stacji. Przysiadłem na walizce, a mama rozmawiała z jakimś kolejarzem. Za jego radą, poszliśmy na bocznicę kolejki wąskotorowej. Tutaj leżały całe masy pni drzew. Właśnie ludzie kończyli wyładunek tych pni z ostatniego wagoniku. Mały parowóz syczał parą otaczając się jej kłębami. Starszy człowiek stojący przy nim, wycierał szmatą jakieś jego części. Drugi w podobnym